

Balski 18 40

ZESZYTY
44-45-46

BIBLIOTEKA NOWOŚCI

CEL
170

OPRACOWAŁ

EDMUND JEZERSKI.



POMNIK
KSIĘCIA
JÓZEFA
W HOMLU

RYCERZ BEZ SKAZY

(KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI).

TOW. SZERZ.: **CZYTAJ!** WARSZAWA
O SW. DRUK. BRACKA 17
SŁOWEM:



„C Z Y T A J ! „

45730

Bohaterami nazywamy tych, których czyny uznał Naród za własne. Te są za wzór brane do naśladowania. Zaś aby pamięć zawodna nie zaginęła dla ogółu, Naród pomniki stawia bohaterom. Tak Naród ucieleśnia widomie swoją zbiorową, publiczną jednomyślność. Jakże szczęśliwy i dumny być winien Naród, który pomniki wznosił murowane. Temu co umarł za honor Ojczyzny. Jakże niezłomnie pamięć honoru Ojczyzny musi być w serca zaklęta. Jakże niewzruszony fundament ma polska Państwowość we czci dla bohatera, którą tylokrotnie z uniesieniem obwołały usta. Niech powtarzają jeszcze, niech słyszą uszy i niech widzą oczy, by zaś w sercach pamięć wezbrała uczuciem i tak potężnie się wzmogła, żeby zagasły wątplenia, stłumione porywem rytmu uniesienia. Niech wstaje zorza przyszości z nas mimo wszystko, — zrodzona z zapalu, klętego w pamięć przez Narodowych Bohaterów! Niech zorza ta rozproszy mroki przeciwności swoją promienną jasnością. Krzemy się przypominaniem Chwały!

X-86/44/82081

L. 18



RYCERZ BEZ SKAZY.

(Książę Józef Poniatowski).

Opracował EDMUND JEZERSKI.

I.

Nie do magnackich roców należał w Rzeczypospolitej ród Poniatowskich herbu Ciołek...

Ot, zwykły sobie ród chudopacholski, szlachecki, wysługujący się magnatom, i zdobywający w ten sposób dostatki i znaczenie.. Złośliwi nawet utrzymywali, że protoplaści jego spełniali funkcje podstarościich...

Na wyżyny pewne wznosił się ród ten dopiero w początku XVIII wieku, za sprawą Stanisława, który służył wojskowo w armji austriackiej, pod księciem Eugeniuszem Sabaudzkim przeciw Turkom, odznaczył się tam niejednokrotnie, a wróciwszy do kraju, w czasie wojny północnej, stanął po stronie Karola XII, króla szwedzkiego, oraz gorliwie popierał osadzonego przez tegoż na tronie Stanisława Leszczyńskiego.

Wierny był złożonym przyrzeczeniom, i towarzyszył Karolowi XII, a następnie i Stanisławowi Leszczyńskiemu w dniach doli i niedoli. Mężny i obrotny dbał bardzo o wyniesienie rodu swojego i gdy sprawa Leszczyńskiego upadła, pogodził się z Augustem II, który nie tylko zwrócił mu dobra, lecz i posuwał coraz wyżej po drabinie dostojęństw, aż do godności wojewody mazowieckiego...

Wszedłszy w związki rodzinne z potężnymi już wtedy Czartoryskimi, podłożył podwalinę pod przyszły wzrost rodu swego, a mianowany kasztelanem krakowskim w r. 1752. w dziesięć lat potem zmarł, pozostawiając sześciu synów i trzy córki...

Nie pozostawił jednak pan kasztelan wielkiego majątku, by dzieci jego magnacki, niezależny tryb życia wieść mogły... musiały też one, podobnie jak rodzic, iść w służbę do obcych, by tam dorabiać się znaczenia i fortuny.

Lecz miały już drogę uitorowaną, ułatwioną przez ojca...

I oto siódme z kolei dziecię pana kasztelana, syn Andrzej, oddany został przez ojca do wojska austriackiego, gdzie awansował bardzo szybko, ciesząc się względami i poparciem dworu habsburskiego, zwłaszcza po odznaczeniu się w czasie wojny siedmioletniej... Dopomagało mu też do tego małżeństwo z hrabianką Tereseą Kińską, należąca do rodu czeskiego, dobrze widzianego przez cesarżową Marię Teresę, która pierwszą córkę z tego małżeństwa, Teresę, późniejszą panią Tyszkiewiczową, sama do chrztu trzymała.

W dwa lata potem znów, w dn. 7 maja 1763 r., o godz. 3 rano, w pałacu Kińskich w Wiedniu, przy ul. Herrengasse, urodził się młodemu, gdyż zaledwie 29 letniemu generałowi, syn, który ochrzczony tegoż samego dnia, otrzymał imiona Józef Antoni.

W rok po urodzeniu jego dostojęństwa graDEM sypać się poczęły na ród Poniatowskich. Stryj jego, Stanisław August, przy poparciu carycy Katarzyny, wyniesiony został na tron królewski, przyczem czynny udział miał w tem i Andrzej, popierający kandydaturę brata wpływami swemi na dworze wiedeńskim.

I na rodzica jego spadł grad odznaczeń, gdyż otrzymał i mitrę książęcą, i rangi inspektora piechoty, oraz feldcechmistrza armii austriackiej.

Niedługo się jednak cieszył tem wszystkim ks. Andrzej... Pożerany przez chorobę piersiową, zmarł w r. 1773, pozostawiając dzieci na opiece żony, osoby schorowanej, rozgoryczonej, odsuwającej się od ludzi, a z całą namiętnością odciążającej się wychowaniu syna — jedynaka.

Względnie niezamożna, gdyż ks. Andrzej, oprócz rangi i pensji, żadnych prawie majątności nie posiadał, a sama należała do niezbyt bogatej linii hr. Kińskich, nie wiadomo, jakby sobie z tem radę dała, gdyby nie pomoc szwagra, króla Stanisława Augusta.

Gorąco zajął się on bratankiem, obdarzając go starostwami, co ważniejsze jednak, zainteresował się w znacznym stopniu wykształceniem i wychowaniem jego, wchoząc nawet w najdrobniejsze szczegóły...

Umiłował on w szczególny sposób bratanka, i choć małe książętko otaczał cały szereg nauczycieli cudzoziemców, choć ono, mimo zdolności i bystrego rozumu, do książki niezbyt chętnie się przykładalo, przykładając nad nią zabawy i ćwiczenia rycerskie, największy nacisk kładł na polskość wychowania jego, broniąc go wszelkimi siłami przed zniemczeniem.

I oto król, nawpół zczudzeniemy, nie mający w sobie ani odrobiny polskości, wychowywał bratanka na patriotę polskiego, rojąc w głębi duszy marzenia o przekazaniu mu korony swojej, szykując go na następcę swego...

I wzywał go do siebie, do Polski, otaczał go służbą polską, od której młody książę uczył się mówić i pisać po polsku...

Lecz nie przebudziła się w nim jeszcze dusza polska... Wprowadzony wcześniej na dwór wiedeński, gdyż piętnastoletnim chłopcem, zachęcony przez cesarza Józefa II do wstąpienia do służby wojskowej austriackiej, rwał się do niej, pchany żądzą czynu, żądzą działalności, której domagała się żywa natura jego.

Zwracał się też z prośbą o pozwolenie na to do stryja, króla Stanisława Augusta, i pod warunkiem, że na pierwsze wezwanie stawi się na służbę w Ojczyźnie, uzyskał je, i w r. 1780 wstąpił do armii austriackiej w randze porucznika...

Awansował szybko, przeskakując z stopnia na stopień, aż w roku 1784 doszedł do rangi majora. Obudził się w nim żołnierz, żołnierz nieustraszony, kawalerzysta niezrównany, gotów na najszańsze czyny, byle wylądować nadmiar energii.

Używany przez stryja do różnych funkcji dyplomatycznych, poznał króla pruskiego, a następnie w r. 1787 został wezwany, by towarzyszył mu w podróży do Kaniowa, na spotkanie się z carycą Katarzyną II i cesarzem Józefem. Posłuszny mu był, lecz nie mógł patrzeć na te objawy służalczości magnatów polskich, na hańbę ich i upadek, i poprzyjaźniwszy się z pokrewnym mu duchem Karolem de Ligne, skorzystał z okazji, i przepłynąwszy Dniepr łodzią, uciekł, uciekł aż do pułku swego na Morawach, gdzie dopiero lżej odetchnął.

Znów życie dzielił między obóz a Wiedeń, gdyż młody a piękny podpułkownik a zarazem adjutant przyboczny cesarza Józefa, cieszył się wielkiem powodzeniem, zwłaszcza u kobiet...

Lecz on zajęty był czem innym... Rycerska krew działów obudziła się w nim, nasłuchiwał też niecierpliwie odgłosów, płynących od wschodu, gdzie rozgorzała wojna turecka...

Jako adjutant przykuty do boku cesarza, skazany prawie że na zupełną bezczynność, nie zadawał się tem. Rwał się do czynu, do walki, to ofiarując się zebrać oddział ochotniczy w Galicji, to znów rzucając się w pierwszych szeregach na mury obleganych fortec...

Jeden z pierwszych też wdarł się na czele kolumny szturmującej na wały fortecy Szabacu, i tam ranny kula w nogę, padł...

Uratowali go wierni żołnierze, a długą chorobą, nieomal że nie kalectwem, przyplacił swą brawurę...

Awansował go cesarz Józef na pułkownika, wystawiając chwalebne świadectwo męstwu jego i doświadczeniu wojskowemu, a on, ledwie z rany wyleczony, rwał się do udziału w nowej kampanji, — miał już wyruszyć w pole, gdy naraz powołała go na służbę Ojczyzna...

Głosowi temu musiał być posłusznym...

H.

Odradzała się Rzeczpospolita po latach klęsk i niedoli, zrzuciła ze siebie pięta, narzucane przez przemożnych sąsiadów, dzięki anarchii i swawoli magnatów i szlachty... Cier-

pieńia, które przeżyła, odżywczo podziały na cały jej organizm, a najprzecudniejszem dziełem czasu tego był sejm wielki czteroletni r. 1788 — 1792, uwieńczony przepięknym w swej wspaniałości kwiatem — konstytucją 3 maja...

Sejm Wielki przedewszystkiem zwrócił uwagę na opłakany stan wojskowy Polski, na to, iż dzięki redukcji wojsk, wprowadzonej na żądanie chytrzej a przebiegłej aliantki i opiekunki z północy, carycy Katarzyny II, wystawioną ona była na napaść sąsiadów, i nie miała nikogo, kto by ją obronił, i jedną z pierwszych uchwał swoich postanowił liczbę wojska podnieść do 100.000, a na dowódców jego powołać wszystkich Polaków, w służbie obcej pozostających...

Jednym z pierwszych, powołanych do tej służby, był ks. Józef Poniatowski...

Wezwany przez stryja, złożył cesarzowi podanie o dymsię, przyczem musiał złożyć zobowiązanie, iż nigdy przeciw Austrii walczyć nie będzie... Złożył je, lecz następnie, jakby przewidując przyszłość, zażądał zwrotu jego, i uzyskał je za pośrednictwem posła królewskiego...

Wolny od wszelkich zobowiązań, przybył do Warszawy w sierpniu r. 1789, a w dwa miesiące potem mianowany został generał-majorem wojsk polskich, wraz z Kościuszką i innymi.

Młody, piękny, opromieniony chwałą walk, stoczonych w wojnie z Turcją, a zwłaszcza odniesioną tam raną, w niedługim czasie stał się bożyszczem stolicy, ulubieńcem kobiet, a zarazem wyrocznią w zakresie mody...

Szalał, upojony łatwem powodzeniem, lecz gdy odezwał się głos obowiązku, gdy nakazał mu on udać się do dowodzonej dywizji, aż do Tulczyna, na Wołyń, rzucił wszystko, i podążył tam, ażeby z równym zapałem oddać się ćwiczeniu wojsk mu powierzonych...

Wkładał w to całą duszę zapalną, choć nie był świetnym teoretykiem wojskowym. Nie wyniósł tych zdolności ze służby austriackiej, nie zdobył ich w czasie odbytej kampanji, był tylko zdolnym kawalerzystą, o innych dziedzinach sztuki wojskowej miał tylko słabe pojęcie... Lecz brak wiadomości tych zastępował olbrzymią intuicją, która z czasem pozwoliła mu zająć stanowisko jednego z najlepszych wodzów...

Powrócił na wezwanie stryja do Warszawy, w jesieni 1790 r., zastąpiony w obozie przez Kościuszkę... Przybył, by wziąć udział w pracach nad wiekopomną konstytucją majową 1791 r., poczem wkrótce wrócił do obozu, by zająć się dalszym wyćwiczeniem wojska...

Wiedzano dobrze, że Ustawa majowa, przeciw której występowało kilku nikczemnych magnatów, z Szczęsnym Potockim na czele, nie zyska aprobaty ze strony Rosji, gdyż wrywała całkowicie Polskę z pod jej wpływów, i choć ambasador carycy, Bułhakow, usypiał króla zapewnieniami o pokojowych dążnościach carycy, przeczuwano burzę, gromadzącą się na wschodniej granicy i szykowano się do jej odparcia...

Zwłaszcza zwracał na nią uwagę czujny Kościuszko, śląc do Warszawy, do Sejmu i do ks. Józefa ostrzeżenia o zbieraniu się na granicy wojsk rosyjskich...

Lecz król i dworacy, zajęci przygotowaniami do uroczystego obchodu rocznicy konstytucji 3 maja, głusi na nie byli... Ks. Józefa nie chciał puścić król wcześniej, aż po tych uroczystościach...

W ostatniej też chwili nieomal, gdy wojska rosyjskie przekroczyć już miały granicę, podążył do wojsk, bez planu mającej się toczyć wojny, bez zaopatrzenia w amunicję, broń i żywność...

Wyjeżdżał z Warszawy, przekonany o niemożności prowadzenia walki z przemożnym przeciwnikiem, czuł swoją słabość wobec ciężaru włożonego na niego zadania, i błagał króla, ażeby powierzył dowództwo to bieglejszemu od niego, pod którego komendą służyć chciał jaknajchętniej...

Lecz król prośbę jego odrzucił...

Opracowany zrazu plan musiał uleść zmianie dzięki zdradzieckiemu postępowaniu ks. Michała Lubomirskiego, dowodzącego korpusem wołyńskim...

Na nim i na Kościuszcze spoczął cały ciężar toczonej kampanji, uwieńczonej nawet zwycięstwem pod Zieleńcami... Sam dawał wojsku przykład męstwa, stając na czele jego w największym nawet ogniu, prowadząc go do boju...

Lecz na nic były wszelkie wysiłki...

Być może, iż w kampanji tej wiele rzeczy inny przy-

braćby mogło obrót, armja polska, choć słabsza, mogłaby odnosić zwycięstwa, gdyby nie błędy naczelnego wodza... Lecz cóż miał on robić w chaosie, jaki go otaczał, w powodzi sprzecznych dyspozycji, napływających z Warszawy, od króla i Rady Wojskowej, z dowódcami, z których części nie mógł być pewien...

Próżnemi były wołania jego o pomoc, o posiłki; w Warszawie pomijano je milczeniem, lub przysyłano je w śmiesznie małej liczbie pod wodzą ludzi niedołężnych...

Jednocześnie też król śląc gońców do niego, by zwrócił się do gen. Kachowskiego, wodza wojsk rosyjskich z prośbą o rozejm czterotygodniowy, by można było przeprowadzić rokovania pokojowe.

Z bólem serca posłuszny był książę Józef temu rozkazowi, raniącemu dotkliwie dumę jego... Spotkawszy się jednak z odmową, cofał się dalej, aż do linii Bugu... Tam stoczona miała być ostatnia w tej wojnie batalja.

A tymczasem szły do ks. Józefa, przesyłane skwapliwie przez stryja, wieści z Warszawy, o różnych stawianych mu tam zarzutach. Raniły go one w serce samo, zwłaszcza, iż czynił iście nadludzkie wysiłki; ślano kontrolerów czynności jego, przeszkadzających tylko, a nie wpływających zupełnie na powodzenie działań wojennych, nie przyspieszających nadsyłania mu posiłków, amunicji, broni i żywności.

Czynił w listach swoich wymówki królowi, iż nie uczynił wojny tej narodową, że nie wezwał wszystkich pod broń, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, że sam nie stanął na czele zbrojnych zastępów, by albo zginąć z honorem, albo przywrócić Polsce dawną potęgę.

Po krwawej bitwie pod Dubienką, która nie była zwycięstwem żadnej ze stron walczących, cofał się dalej, aż pod Lublin.

Tam też go raził cios najdotkliwszy... wieść o przystąpieniu króla do nikczemnej Targowicy, wieść o zdaniu się na łaskę i niełaskę Rosji.

Nikczemnością to nazwał, był nią oszołomiony, zgnębiony.

Snuł projekty najszańsze, aż do porwania króla i zmu-

szenia go siłą do stanięcia na czele wojsk... Stał do niego listy błagalne, prosząc o zaprzeczenie tej wieści haniebnej...

Lecz, niestety, otrzymał własnoręczne, królewskie jej potwierdzenie, z rozkazem zaprzestania działań wojennych, cofnięcia się z wojskiem na lewy brzeg Wisły, by otworzyć drogę do Warszawy wojskom moskiewskim.

I pisał wtedy do króla w pełnym bólu liście:

„Najjaśniejszy Panie, gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpaczki, którą moja dusza napełniona została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się z Targowicą. Wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon...“

I noc całą rozmyślał nad tem, co ma czynić, nie ogłaszając otoczeniu o otrzymanym rozkazie... A rankiem udał się na rekonesans, podczas którego o mało co nie zginął...

Posłuszny wreszcie był rozkazowi, i zjechał się z Kachowskim... W pełnych bólu słowach donosił o tem stryjowi, który znów ze swej strony błagał go, ażeby był posłusznym woli jego.

Słuchał rojonych planów porwania króla, przychyłał się do nich, lecz wkrótce przemogło w nim poczucie obowiązku, przemogła miłość dla stryja, który się nim czule opiekował.

Według słów własnych „postąpił“ w sposób, jaki przystoi temu, który wprzód się uczył być posłusznym, nim zaczął rozkazywać...“

Nie mogąc jednak służyć nadal w warunkach zmienionych, pod komendą tych, którymi gardził, wystąpił do króla ze stanowczą prośbą o dymisję... Próżne były nalegania króla, by cofnął ją, próżne obietnice świętej przyszłości, z uporem stał przy swoim i wreszcie żadaną dymisję otrzymał.

Dopiero wtedy udał się z obozu do stolicy, z żalem żegnany przez całe wojsko...

Pobyt jego w stolicy stał się jednakże niezbyt dogodny dla króla, raz ze względu na owacje, jakie go ze strony ludności spotykały, a powtórze ze względu na śmiałe wyrażanie zdań stanie rzeczy, a zwłaszcza o Targowiczaniech.

Tu już król musiał uleść naciskowi tychże i wydać go z Warszawy.

Z końcem sierpnia r. 1792 udał się książę Józef na wygnanie, do Wiednia, który był mu drugą ojczyzną.

III.

Nie poprzestała jednak na tem Targowica. Ścigała go jeszcze na tem dobrowolnem wygnaniu, przyczepiając się do byle czego...

Zażądano od niego, by „zrzucił krzyż zasługi wojskowej „Virtuti militari“, a on odpowiedział stryjowi, że pozwoli go sobie zabrać „chyba z życiem, i jeśli będę miał kiedykolwiek dzieci, zostawię im ten znak, jako najpiękniejsze dziedzictwo“.

Zażądano, by złożył przysięgę na wierność Targowicy, choć otrzymał zupełną dymisję, — na co odpowiedział z pogardą.

Niszczono wszystkie zarządzenia jego z czasów głównego dowództwa, czyniono go winowajcą wszystkich nieszczęść krajowych. Oburzony tem, wyzwiał Szczęsnego Potockiego na pojedynek, na co ten bohaterstwo odpowiedział wyznaczeniem placu spotkania w... Petersburgu.

Uciekł się jednocześnie haniebny Targowiczanie pod opiekę ambasadora carycy, Sieversa, a ten wpływać zaczął na króla, by uśmierzył synowca.

Począł czynić wyrzuty ks. Józefowi król Stanisław August, groził mu nawet zawieszeniem pensji i odebraniem wszystkich dochodów, na co otrzymał odpowiedź, pełną bólu i godności, proszącą tylko, by nie krzywdzono chorej matki...

Lecz nikczemna Targowica zemstę swą posunęła tak daleko, iż odebrała mu wszystkie dochody, nawet te, z których żyła chora matka, pozostawiając go na łasce króla.

Cierpienia jego rosły, wzmagały się, w miarę nieszczęść, jakie kraj spotykały. Pisał do króla:

„Kocham Cię, Najjaśniejszy Panie, nad życie, ale droższym jeszcze, niż Ty sam, jest mi Twój honor, Twoja dobra sława...“

Nie dano mu też długo zagrzać w Wiedniu... Nie mogły

ścierpieć mocarstwa rozbiorowe, że przebywa on w stolicy pominiętej przez nie Austrii, ostentacyjnie przyjmowany przez dwór wiedeński. Wpływno na króla, który wreszcie nakazał mu wyjazd do Anglii, Niderlandów, Włoch... Namawiał go, by wstąpił do wojska angielskiego, lecz on, naczelny wódz wojsk polskich, mógł służyć tylko ojczyźnie... Nie mógł być podkomendnym, a powtórnie nie chciał pomagać koalicji do zwalczania toczącej bój śmiertelny o wolność swoją Francji...

Udał się do Brukselli, i stamtąd, na nalegania króla, odesłał mu wreszcie krzyż „Virtuti Militari”, a wraz z nim i wszystkie inne, od niego otrzymane ordery.

W wesołej kompanii, wciągnięty w wir życia dworskiego, nie zapomniał jednak o Ojczyźnie... Bacznie przysłuchiwał się odgłosem, płynącym z kraju, śledził wszystkie przejawy budzącego się tam ruchu, który miał rozwinąć się w żywość, acz beznadziejną insurekcję Kościuszki.

Na wieść o niej książę zrozumiał, iż obowiązkiem jego jest stanąć w Ojczyźnie, w szeregach walczących o wolność.

Zabolało go może trochę, iż przy układaniu planów insurekcji, przy tworzeniu jej, pominięto go, lecz z łatwością wytłómaczył to sobie nieszczesnym pokrewieństwem z królem, zaprzędanym w zupełności Rosji.

Mimo to jednak porzucił wszystko natychmiast, zwłaszcza, iż i stryj go wzywał, by stanął w tych pełnych niebezpieczeństwa chwilach przy jego boku, i w przebraniu, z dwoma towarzyszami, generałami Wielhorskim i Bronikowskim, przedarł się przez Galicję i stanął w obozie Kościuszki pod Jędrzejowem.

Spotkał się tam z przyjęciem chłodnym, nieufnym. Kościuszko spytał go:

— Czego pan sobie życzysz?..

— Służyć jako prosty żołnierz — odrzekł ks. Józef.

Ofiarował mu Kościuszko dowództwo na Litwie, lecz odmówił tego, pragnąc być w Warszawie, bliżej stryja...

Przy pomocy Sanguski udało się przełamać lody, nieufność zniknęła, a wojsko okrzykami radości witało dawnego wodza.

Podążył potem do Warszawy, by przywitać stryja, od

którego odsunęli się wszyscy. Opuszczenie to dotknęło i ks. Józefa. Mściło się na nim urodzenie jego, mściło pokrewieństwo z królem.

Prosił o pozwolenie mu wzięcia udziału w wyprawie Mokronowskiego, w charakterze prostego ochotnika, — po długim namyśle zgodzono się na to; brał też udział w walkach z Prusakami pod Błoniem.

Lecz później wypadło się cofnąć do Warszawy, obłożonej prawidłowo przez wojska pruskie.

Tam nie mógł uniknąć wielu przykrości, wielu docinków ze strony otoczenia Kościuszki. Znosił je z zaciśniętymi zębami, poświęcając wszystko dla Ojczyzny.

Łagodził jak mógł te zatargi zacny Kościuszko, powierając księciu odpowiedzialne pozycje, utrzymując z nim przyjacielsko-koleżeński stosunek.

A nadomiar wszystkiego niechęć ludu do króla i rodziny jego rosła, potężniała, zwłaszcza po śmierci brata królewskiego, prymasa, ks. Michała, śmierci, o którą pomawiano króla, mającego przesłać bratu truciznę, by uchronić go od zemsty oszalałego tłumu wobec oskarżeń o zdradę.

Ta zagadkowa śmierć stryja boleśnie dotknęła ks. Józefa, zraniła jego honor i wygórowaną ambicję.

Zapomnienia o troskach swych i kłopotach szukał na placu boju, dowodząc nader ważną pozycją pod Górą Szwedzkimi i Wawrzyszewem.

I tu zły los wyplatał mu figla. Po całym szeregu pomysłnych walk, nieprzyjaciel uderzył na pozycje te w czasie chwilowej jego nieobecności i opanował je, zdobywając baterię z ośmiu dział...

Przybiegł ks. Józef zaraz w samym początku walki, jak szalony rzucał się w największy jej wir, by bronić swej reputacji wojskowej, napróżno wszystko... Pozycja straconą była.

Sypnęły się ze wszech stron zarzuty na księcia Józefa, aż zniechęcony niemi rzekł się dowództwa, oddając je gen. Dąbrowskiemu. W niedługim czasie jednak wrócił do komendy, prowadził jednak tylko drobne wycieczki.

Uwolniono Warszawę od oblężenia. Zdawało się, że insurekcji przyświecać poczyna nadzieja powodzenia. Ks. Józef

zeł otrzymał od Kościuszki nowy dowód zaufania, w poleceniu działania nad Bzurą, celem utrzymania łączności z Dąbrowskim, działającym w Wielkopolsce, lecz nie wiodło mu się.

Tymczasem pod Maciejowicami rozstrzygnął się los insurekcji. Kościuszko, ranny, wzięty został do niewoli, a z nim upadła cała sprawa. Po krwawej rzezi Pragi, Suworow zajął Warszawę, a niedobitki polskie wymaszerowały z niej.

Książę Józef, ulegając presji ze strony króla, a przytem nie wierząc już w dalsze powodzenie walki, jeden z pierwszych złożył komendę, a cały korpus jego poszedł w rozsypek.

IV.

Polska upadła. Zajmowali ją zwycięzcy, a król-jeńiec, jechać miał do Grodna, gdzie oczekiwać miał losu, jaki przeznaczyć mu miała najdosłojniejsza protektorka jego, caryca Katarzyna II.

Namawiał ks. Józefa, ażeby mu w podróży tej towarzyszył, ażeby ratować zagrożone konfiskatą dobra litewskie, lecz ten odmówił mu stanowczo, dając nawet do zrozumienia, iż życie obmierzło mu do tego stopnia, że blizki jest samobójstwa.

„Życie stałoby się dla mnie ciężarem, — pisał: gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności...”

„Zostaw mnie, Najjaśniejszy Panie, zapomnij o mnie, odepchnij od siebie... może za to kiedyś moje ręce, im będą czystsze, tem godniej potrafią Ciebie pielęgnować w potrzebie...”

Pozostawiony więc przez stryja w Warszawie, wobec dość opłakanych warunków materialnych, zamierzał osiąść w poblizkiej Jabłonnie, lecz nie pozwolili mu na to rezydenci rosyjscy w stolicy, krzywo patrzący na jego pełne prostoty życie, uważający je za wrogą dla siebie demonstrację.

I znów się zaczęły nalegania ze strony króla, ażeby podał się wymaganiom ambasadora, a zwłaszcza mody. Tłómaczył się jak mógł ks. Józef, lecz nie uchroniło go to ani przed

sekwestrem starostwa na Litwie, ani przed nakazem wyjazdu do Wiednia.

Siedział tam blisko trzy lata, opuszczony i zapomniany przez wszystkich, mając przy sobie tylko siostrę, p. Tyszkiewiczową, i p. de Vauban, awanturnicę francuską, którą poznał jeszcze w Brukseli, a z którą związał, z własną krzywdą i szkołą, swe życie...

Dokuczala mu bieda, dręczyły choroby, a najwięcej owa depresja moralna, w jakiej po upadku Ojczyzny pozostawał...

Po śmierci carycy Katarzyny stan majątkowy jego poprawił się znacznie... Syn jej, car Paweł I, powodowany nieważnością ku matce, burzył wszystko, co ona zarządziła, przywrócił mu wszystkie dobra jego na Litwie, a nadomiar wszystkiego mianował generał-lejtnantem jazdy i właścicielem kazańskiego pułku kirasjerów...

Stawiało to znów w fałszywej pozycji ks. Józefa, zwłaszcza w oczach rodaków, wymówił się też od tego zaszczytu, oświadczając, iż do żadnej obcej służby wstępować nie zamierza.

Odmówił również żądaniu stryja, by mu towarzyszył w podróży z Grodna do Petersburga.

Siedział dalej w Wiedniu, wciąż w opłakanych warunkach materialnych, gdyż dochody z majątków nie wystarczały na pokrycie wydatków, zwłaszcza pp. Tyszkiewiczowej i Vauban, oraz na rentę dla matki...

Zaszedł wreszcie wypadek, który zmusił go do opuszczenia Wiednia. W lutym 1798 r. zmarł w Petersburgu król Stanisław August, interesy spadkowe zmusiły go do udania się nad Nową. Bawił tam parę miesięcy, podejmowany nader gościnnie przez cara Pawła, który mianował go przeorem zakonu Maltańskiego, i obdarzył nominalnie odrzuconymi poprzednio godnościami wojskowemi.

Nie nęcił go jednak przepychi dworu petersburskiego, nie kwapił się korzystać z otwierającej się przed nim drogi do stojeństw i zaszczytów...

Załatwiwszy wszystko, wrócił do pozostającej pod rządami pruskiemi Warszawy, nasłuchując tylko odgłosów, płynących z oddali...

A wschodziła wtedy właśnie gwiazda Napoleona, który pobawiwszy Austriaków we Włoszech, wyprawiał się właśnie do Egiptu, by tam śmiertelny cios zadać Anglikom przez zdobycie drogi do Indji.

Nie mogła być Rzeczpospolita francuska sympatyczna synowcowi króla, gdyż własnych królów gilotynowała... Zbyt wiele miał w sobie przesądów arystokratycznych, by nie potępiać jej za tępienie arystokracji, która nawet gościnnie przytułek u niego znajdowała...

Lecz za to burzyły w nim krew opowieści o bohaterskich czynach tej armji republikańskiej, czynach, w których legioniści polscy, ci zbiegowie z nieszczęsnej Ojczyzny, niepośledni brali udział...

A jednocześnie ze strony wodzów tych legionów, a zwłaszcza Zajączka, padały na niego zarzuty ciężkie, zarzuty nieuzasadnione, stronnictwą namiętnością przesycone...

Cenił też wielce wszystkich legionistów, i każdego z nich, mimo oszczerstw na niego miotanych, przyjmował gościnnie w pałacu swoim, a przytem słuchał chciwie opowieści o bojach bohaterskich, o walkach sławnych po wiek wieków...

I ciche westchnienie rozrywało mu pierś, że nie danem mu jest brać udziału w tych bojach, że skazany jest na życie bezczynne wtedy, gdy dusza się rwała tam, na pole, pod sztandary legionów...

Nakładał jednak maskę na twarz i stawał się dawnym „księciem Pepim“, rozbawionym, rozszalałym...

Musiał przytem znosić wiele przykrości ze spadkiem po Stanisławie Anguście, spadkiem, obciążonym taką masą długów, iż wartość jego równą była zeru. Przyjął go jednak, by oczyścić pamięć stryja z zarzutu bankructwa.

Trudności z tego powodu piętrzyły się tak dalece, że aż musiał uciec się osobiście o pomoc i interwencję do króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma.

Przyjęto go tam z wyróżniającą urzejomością, gdyż rozumiano dobrze, iż wpływ takiego człowieka, w zamiarach, jakie rząd pruski względem Polski żywił, może mieć poważne znaczenie. Zaspokoiono w części żądania jego, podejmowano go gościnnie, lecz nie zdołano do planów nakłonić.

Jakby przeczuwając przyszłą swą rolę w Polsce, trzymał się w rezerwie, przyjmując wszelkie grzeczności z wdzięcznością, lecz nie zobowiązując się do niczego, nie kłęcząc się niczem, coby mogło stanąć mu na przeszkodzie w przyszłości.

Powrócił też z Berlina do Warszawy i, żyjąc nadal w dobrych stosunkach z władzami administracyjnymi pruskimi, pędził żywot prywatnego człowieka, urządzając pałace swoje w Jabłonnie i pod Blachą, a nawet stając się przywódcą ówczesnej złotej młodzieży, której wiele zarzucano, a przedewszystkiem — brak patriotyzmu...

Potępiano go surowo za ten tryb życia... Miotano gromy na niego, że zatracą tężyznę ducha, że szaleje wtedy, gdy dla Ojczyzny być może godzina wolności się zbliża...

A on szalał w dalszym ciągu...

Nie mogli ci wszyscy sędziowie surowi odgadnąć maski, jaką przywdział na siebie, maski, pod którą kryło się prawdziwe oblicze jego, którego nigdy tłumom nie pokazywał...

O, bo trzebaż im było zobaczyć tego księcia - pustaka, co z miłości na miłośćkę przelatywał, co pędził po Warszawie w wykwintnej karjolce, sam powożąc ognistymi rumakami, wtedy, gdy spotkał żołnierza - legionistę...

Prowadził go wtedy do gabinetu swego, i tam, zamknięty z nim sam na sam, słuchał długich opowieści o bojach toczonych we Włoszech, o bohaterskich czynach legionów...

Albo też, gdy pozostawał sam., Wtedy opadała z twarzy jego maska rozbawienia, a oblicze jego przybierało wyraz znużenia i apatii, wyraz bólu, że mimo najgorętszych chęci, mimo kipiącego w nim życia, musi pozostawać bezczynnym, nie może iść za innymi...

Zagluszał się ks. Józef wybrykami swemi, a jednocześnie oddalał od siebie wszelkie pojęzżenia rządu pruskiego, śledzącego bacznie czynności jego, czującego dobrze jego znaczenie i rolę, jaką może odegrać w społeczeństwie polskim...

Musiał więc ks. Józef nosić maskę, aż do chwili wyzwolenia narodu...

A chwila ta zbliżała się...

V.

Zbliżała się chwila decydująca w życiu Polski...

W kołach dyplomatów różnych państw snuto projekty odbudowania jej, a jednym z najpoważniejszych był zamiar cara Aleksandra I, występującego wtedy wrogo przeciw Francji, wraz z Austrią, uderzenia przedewszystkiem na Prusy, a po pokonaniu ich — odbudowania Polski pod berłem Romanowych...

Projekt ten znalazł poparcie u wielu magnatów polskich, wiedział o nim i ks. Józef Poniatowski, i oczekiwano tylko na znak do rozpoczęcia działań. Lecz tym razem dyplomacja pruska okazała całą swą zdolność, i zdołała przekonać cara o tyle, iż zamiar swój porzucił, a nawet sprzymierzył się z Prusami...

Książę Józef, który oczekiwał tylko wezwania do czynu, doznał zawodu. Wymówił się też od obiadu na cześć cara, wyprawionego w Wilanowie, a tylko widział się z nim w czasie przepręgu koni na Czystem...

Ostrożniej też już przyjmował zapewnienia generałów jego, jak i późniejsze zabiegi Prus, chcących poruszyć Polskę całą, z ks. Józefem na czele, przeciw Francji, gdy Napoleon wystąpił z wojną...

Ostrożność ta okazała się rozumną...

Na polach Jeny padła potęga Prus... Zwycięski Napoleon wkroczył do Berlina, a wkrótce potem towarzyszące mu legjony polskie pod Dąbrowskim weszły do Poznania, głosząc całemu narodowi polskiemu odrodzenie Ojczyzny...

Stanowisko ks. Józefa stawało się coraz trudniejsze. Król pruski odręcznym listem powierzał stolicę opiece jego... Uczynił zadość prośbie jego i jako przedstawiciel jej, w parę dni później witał u rogatki wkraczające do Warszawy wojska francuskie pod wodzą Murata...

Witał, z rycerską szczerością, przystrojony w orderu pruskie...

Zaraz następnego dnia porozumiał się z Muratem, któremu z całą otwartością przedstawił sytuację społeczną i swoją własną... Nie ukrywając nic przed nim, nie tając prawdy,

oświadczył, że kraju całego nie da się poruszyć i do powstania nakłonić, bez udzielenia pewnych gwarancji; mówił mu o odbudowaniu Polski, przyczem zaznaczył, że korona królewska spocząć może tylko na głowie cudzoziemca...

Ofiarowywał służby swoje, lecz tylko w odrodzonej Ojczyźnie, a nie w szeregach cesarskich...

Polsce tylko chciał służyć, a nie obcym bogom...

Z entuzjazmem donosił o tem Murat cesarzowi, który jednak z niezadowoleniem przyjmował te oświadczenia. Unikał on wszelkich zapewnień, wszelkich gwarancji, a otaczający go generałowie polscy zapewniali go, iż Polska wypełni wszelkie żądania jego bez zastrzeżeń...

Wysłał więc do Warszawy Dąbrowskiego, przyjętego tam z entuzjazmem, by zajął się organizacją wojska, co odsuwało znów ks. Józefa w cień, czyniło go niepotrzebnym...

Miał on do wyboru, albo domagać się należnego mu naczelnego stanowiska, albo usunąć się zupełnie, zejść w nicość...

Długo namyślał się nad tem, co czynić, wreszcie wybrał pierwsze. Wystąpił z odpowiednim przedstawieniem do Murata, wyrażając gotowość objęcia wydziału wojny...

Zrozumiał go zapalny Murat, i na mocy swej władzy namiestniczej, wydał rozkaz, mocą którego oddawał mu komendę siły zbrojnej polskiej i polecał zająć się organizacją jej.

Natychmiast też zabrał się do czynu ks. Józef, tworząc sztab i ogłaszając odezwę do dawnych kolegów i towarzyszy broni.

W tym też charakterze witał w parę dni potem w Warszawie Napoleona, którego sankcji jeszcze nie posiadał. Przyjęty zimno, wymówką, z racji stawianych przez siebie warunków, nie zraził się niemi... Spokojnie, rozważnie przedstawił cały stan rzeczy, a w kilkanaście dni potem, gdy Napoleon po zwycięstwie pod Pułtuskim zawitał znów do Warszawy, złożył mu zasadniczy memoriał polityczny.

Występował w nim, jako prawy syn Polski, gorąco miłujący Ojczyznę, a zarazem i jako rozumny mąż stanu. Wskazywał korzyści dla Francji, wypływające z odrodzenia Polski, zalecał wprowadzenie w czyn konstytucji 3 maja, objęcie rządów, jeżeli nie przez samego cesarza, to przez którego

z członków rodziny jego, oraz wyrzekął się narazie Galicji ze względu na niebezpieczeństwo austriackie.

Lecz wrogowie ks. Józefa nie zasypiali sprawy, a szczególnie najzaciętszy z nich, gen. Zajączek. Złożył on ze swej strony memorjał, domagający się wprowadzenia ustaw i praw francuskich, potępiając ks. Józefa, Czartoryskich, a nawet i Kościuszkę, a natomiast polecając do władzy Kollataja..

Zdrowym rozumem swoim, Napoleon przyznał wyższość projektowi ks. Józefa i dekretem swoim z połowy stycznia 1807 r. ustanowił Komisję Rządzącą, w której dyrektorem wojny został ks. Józef.

Złożył zaraz w jego ręce przysięgę na wierność w sprawowaniu powierzonego mu urzędu, poczem mianowany został generałem dywizji, komenderującym I legją, a więc równym stopniem Dąbrowskiemu i Zajączkowi, dowodzącym legjami II i III.

Ożył ks. Józef w wirze pracy, jaka spadła na barki jego. Pracował bez wytchnienia, dzień i noc prawie, byle poćołać wszystkiemu. Na gwałt zajął się formowaniem nowych legji, opracowując zarazem budżet ich, regulamin, przyczem stał walką o zachowanie charakteru polskiego tych wojsk..

Zwalczać musiał wiele przeszkód, zarówno ze strony Komisji Rządzącej, jak i ze strony samych wojskowych.

Dawał jednak przytem i dowody wspaniałomyślności, świadczące o wielkości i szlachetności duszy jego. Tak np. wstawiał się za największym wrogiem swoim, Zajączkiem, gdy tenże wystąpił do Komisji Rządzącej z podaniem o podwyższenie pensji.

Sprawa polska tymczasem ważyła się na polu walki... Oręż napoleoński doznawać zaczynał częściowych niepowodzeń, przez co wśród monarchów sprzymierzonych Rosji, Prus i Austrii, poczynano tworzyć nowe projekty co do Polski, a na korzyść których poczęto silnie agitować wśród społeczeństwa polskiego.

W planach tych dla księcia Józefa przeznaczono stanowisko komisarza pełnomocnego w zakresie organizacji wojskowej.

Dochodziło to do uszu Napoleona, który, nic dziwnego,

że w tych warunkach nie mógł go obdarzać całą pełnią swego zaufania, zwłaszcza, iż nieprzyjaciele jego w Komisji Rządzącej i w wojsku, przeszkadzający mu w czynnościach jego wszelkimi możliwymi sposobami, działalność jego przedstawiali w jaknajfatalniejszym świetle, narażając na wybuch gniewu cesarza.

Dzięki intrygom Zajączka, zbierała się burza nad głową ks. Józefa, niepokojąc go bardzo i dając mu wiele do myślenia.

Aż wreszcie naprężenie doszło do takiego stanu, iż Napoleon zdecydowany był stanowisko jego oddać Dąbrowskiemu, jemu zaś powierzyć dowództwo legji tegoż... Dowiedział się o tem ks. Józef i wnet zwrócił się z ostrym protestem do Murata, zaznaczając, że nie ubiegał się bynajmniej o to stanowisko, że przyjął je z woli i na żądanie samego Murata, a zarazem dodawał, iż, jeżeli może go w służbie dla Ojczyzny zastąpić ktoś godniejszy i odpowiedniejszy, gotów jest zrezygnować zupełnie i dowództwa żadnego nie przyjmie..

Odniosło to skutek, zarówno jak i przełożenia Taleyran-da i Stanisława Potockiego, i ks. Józef pozostał na stanowisku swoim.

Wywołało to pewien niesmak i kwasy między nim a Dąbrowskim, który z pewną słuszością uważał, iż stanowisko to jemu się należało.

Gorąca jednak miłość Ojczyzny, którą obydwoj pałali, zacierała te nieporozumienia.

Wreszcie sprawa polska rozstrzygnięta została po zjeździe w Tylży. Ze skrawków dawnej Rzeczpospolitej, odjętych Prusom, powstać miało Księstwo Warszawskie, pod władzą elektora saskiego, Fryderyka Augusta.

Do Drezna powołaną została Komisja Rządząca, a z dyrektorów jedyny ks. Józef. Przyjęty zrazu dość zimno przez rodzinę książęcą, zyskał sobie następnie jej przychylność, a nawet w sercu dwudziestopięcioletniej infantki Augusty wzbudził żywsze uczucie. Kłazyły nawet pogłoski o możliwym małżeństwie, lecz ks. Józef, ze względów politycznych, unikał wszelkich pozorów nawet.

Wrzała tymczasem praca nad organizacją nowego księstwa, zwłaszcza w wydziale wojny. Ks. Józef, mianowany

ministrem wojny, pracował z wyteżeniem, lecz nie miał oddanego naczelnego dowództwa wojsk... Napoleon oddał je marszałkowi Davoust, co znów było powodem wielu scysji i nieporozumień między nim, a ks. Józefem, zwłaszcza, iż wrogowie tegoż nie ustawali w swej kreciej robocie...

Nieporozumienia te doprowadziły aż do zarzutów o zdradę, skierowanych przez Davoustą do Napoleona, i aż łagodzonych przez tegoż. Z czasem dopiero, gdy Davoust poznał bliżej rycerską naturę ks. Józefa, zatarg ten załagodzony został, i gdy marszałek powołany został do Niemiec, wobec grożącej nowej wojny z Austrią, naczelną dowództwo nad wojskami złożył w ręce ks. Józefa.

A ks. Józef, nie zważając na żadne przeszkody, pracował gorliwie nad podniesieniem armji Księstwa pod każdym względem. Zaprowadził pobór do wojska wszystkich, bez względu na urodzenie, stan, dostojęństwo, rzemiosło i wyznanie, *z wyłączeniem jedynie nauczycieli, z najniższych nawet szkółek ludowych, jako niosących służbę najdostojniejszą Ojczyźnie.*

Dbał przytem gorąco o żołnierzy, odwiedzał w koszarach, troszczył się o ich byt, a starał się o utrzymanie z nimi stosunku koleżeńskieg. To też wojsko kochało go i gotowe było iść na skinienie jego w największy ogień.

Sam żołnierz z krwi i kości, najlepiej rozumiał psychologię wiarusów i wiedział, jak zjednać ich sobie.

Mimo to jednak przeszłość jego, a zwłaszcza pamięć stryja mściła się na nim. Pomawiano go o najpotworniejsze rzeczy, o knucie intryg przeciw Francuzom, o dążenie do zagarnięcia władzy w porozumieniu z mocarstwami, wrogami Napoleonowi.

Krwawa wojna 1809 r. rozwiązać miała te oszczerstwa, i przedstawić go we właściwym świetle, jako rycerza bez skazy i bojaźni.

VI.

Wojna między Austrią, a Francją już od początku roku 1809 zdawała się być nieunikniona. Nie ulegało wątpliwości,

iż Księstwo Warszawskie w wojnę tę wciągnięte zostanie, choć Napoleon przewidywał, mylnie co prawda, iż w nieznanym stopniu. Wydał też księciu Józefowi rozkaz odesłania wojsk saskich do Saksonji, samemu zaś na czele kilkunastotysięcznej armji Księstwa, wykonania ruchu demonstracyjnego w stronę Krakowa.

Rachuby te mylnemi były. Dyplomacja austriacka, zapewniwszy sobie bezczynność rosyjskiego sprzymierzeńca Napoleona, wysłała silny, trzydziestotysięczny korpus pod wodzą arcyksięcia Ferdynanda.

Ostrzegał o tem, uprzedzony zawczasu, ks. Józef marszałka Davoustą i Napoleona, na własną odpowiedzialność nawet zatrzymał część wojsk saskich, jednak gdy armja austriacka silną falą załała Księstwo, mógł jej przeciwstawić, łącznie z Sasami, zaledwie 14 tysięczną, młodą i niezbyt jeszcze wyćwiczoną armję polską.

Armja austriacka forsownym marszem posuwała się pod stolicę, gdzie głucha panowała rozpacz, podniecana jeszcze nieufnością do księcia Józefa, któremu teraz wypominać zaczęto jego dawną służbę austriacką.

Odpowiedzią na to z jego strony było mężne wystąpienie na czele szczupłej armji swojej, przeciwko nieprzyjacielowi.

W dn. 19 kwietnia 1809 r. przyszło do starcia na polach Raszyna, przyczem książę Józef, stojąc w największym ogniu, sam prowadził pułki swoje do ataku. Wszyscy w sztabie jego ranni byli lub mieli konie ubite.

Zacięta bitwa trwała od drugiej popołudniu do dziewiętej godziny wieczór, a wynikiem jej było, iż o połowę szczuplejsza armja polska utrzymała się na pozycjach swoich.

Lecz po rozgorączkowaniu bojowem, po upojeniu zwycięstwem, przyszła refleksja. Zwycięstwo okupione było drogą, gdyż prawie dziesiąta część wojsk polskich legła na bojowisku.

Następny dzień mógł przynieść klęskę, gdyż armja saska, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, maszerować miała do Drezna.

Pozostawało mu tylko cofać się do stolicy, którą musiał

następnie oddać nieprzyjacielowi, nie mając możliwości bronięcia jej. Wzniesli na to krzyk przeciwnicy ks. Józefa, pomawiając go o zdradę, lecz zwołana przez niego rada wojenna, przyznała słuszność planowi jego. Rada Stanu unyła ręce od wszystkiego, zwalając odpowiedzialność za wszystko na barki jego.

Wziął ją, nie widząc innego ratunku, i po południu zjechał się z arcyksięciem Ferdynandem w karczmie za rogatka Jerozolimską.

Kuszono go tam do porzucenia sprawy napoleońskiej, kuszono wspomnieniem przeszłości i obietnicami świetnej przyszłości. Odrzucił je krótko, energicznie, a uzyskawszy krótki rozejm, następnego dnia przystąpił do omawiania konwencji, na mocy której miasto miało być Austriakom oddane.

A bronił w niej każdego punktu nieomal, każdego słowa, któreby mogło zadrasnąć honor Polaków.

A jednocześnie zabiegał o uzyskanie warunków jaknajkorzystniejszych, takich, któreby mu kampanję całą dalej prowadzić dozwoliły. Przy wywalczaniu ich uciekał się do środków stanowczych, nie cofał się przed niczem, kładąc wszystko na kartę.

I tak, gdy wynikły trudności z powodu Pragi, z której chciał na prawym brzegu Wisły utworzyć sobie podstawę operacyjną, ustawił na szanicach jej granatniki, oświadczając, iż strzelać będzie do Austriaków w Warszawie, jak do obcego miasta, a przedewszystkiem zburzy swój własny pałac „Pod Blachą”.

Straszna walka toczyła się w duszy jego. Wiedział dobrze, że zawierając tę konwencję, stawia wszystko na kartę, że w razie niepowodzenia, czeka go niesława, czeka hańba. A tu nadmiar ze wszech stron rozlegały się okrzyki o zdradzie, o szubienicy dla tych, co Warszawę nieprzyjacielowi oddali.

W Modlinie odbyła się rada wojenna, na której wrogi księciu Józefowi, Zajączek, doradzał wycofanie się aż do Saksonji, nie widząc nawet nadziei powodzenia. Dąbrowski znów, który o niechęci swej do niego zapomniał, wobec nie-

szczęścia, grożącego Ojczyźnie, wystąpił z projektem innym, zgoła zuchwałym, lecz za to nader doniosłym w skutkach.

Projektował on mianowicie uderzenie na Galicję, wywołanie tam powstania i przez to stworzenie dywersji nieprzyjacielowi.

Uchwycił się książe Józef tego zuchwałego projektu i z całym zapalem przystąpił do wykonania go. Dąbrowskiego wyprawił do Wielkopolski, celem zorganizowania tam pospolitego ruszenia. Zajączkowi powierzył rezerwy na prawym brzegu Wisły, a sam ruszył przez Kock, Lubartów do Lublina, ogłaszając przytem z Wiązownicy odezwę do Polaków w zaborze austriackim.

I pochód jego stał się naprawdę tryumfalnym. Mieszkańcy wszędzie witali go z radością, a miasta na ścieżaj otwierały swe bramy. Do szeregów jego zbiegali się tłumnie ochotnicy, tak że wzrosły one prawie że w czwórnanób. Pod naciśkiem wojsk jego padły fortece takie, jak Sandomierz i Zamłość, a oddziały polskie dotarły aż do Lwowa.

W ten sposób złączone zostały wszystkie dzielnice Polski.

(Ta nadspodziewanie pomyślna wyprawa dała wynik zgoła nieoczekiwany. Armja austriacka w Warszawie, zaniepokojona temi postępami oręża polskiego, grożącemi im zupełnem odcięciem od podstawy operacyjnej, opuściła Warszawę i dążyła czempredziej z powrotem, by nie dopuścić do dalszego posuwania się naprzód księcia Józefa.

Sytuacja była trudna i niebezpieczna zarazem.

Aleksander I, którego z Napoleonem łączyło przymierze, postępował tym razem obłudnie i nieszczerze. Miast, zgodnie z warunkami umowy, wspomagać czynnie Księstwo Warszawskie w walce z najazdem austriackim, stał on bezczynnie, wyczekując tylko wyniku tych zapasów, a natomiast silną armję wystawił na granicy Galicji, na którą oddawna miał apetyt, by zająć ją pod opiekuńcze swe rządy.

Wiązało go też tajne porozumienie z Austrią, że nie będzie wspomagać, ani Napoleona, ani armji polskiej w walce ich z Austrią.

Lecz błyskawiczne posuwanie się naprzód księcia Józefa w znacznym stopniu paraliżowało plany i zamiary jego. To

też książe Józef czuł za sobą posuwanie się „sprzymierzeńczej” armii rosyjskiej, która z wielką łatwością, w razie pierwszego niepowodzenia Napoleona, zamienić się mogła w „nieprzyjacielską”.

Posuwając się naprzód, ustanawiał ks. Józef wszędzie rządy tymczasowe polskie, pod protektoratem Napoleona. I tu miał do zwalczania wiele trudności. Ze strony rodaków spotykał się z zarzutami, że za pochopnie oddawał się pod protekcję francuską, od Napoleona znów otrzymywał wymówkę, że nie objął Galicji w posiadanie w imieniu jego, i że nie zawieścił wszędzie orłów francuskich i nie odbierał przysięgi na wierność cesarzowi Francuzów.

Wymówki te umotywowane były tem, że w tym wypadku armia rosyjska nie ośmieliłaby się wkroczyć na terytorjum Galicji, i nie łączyłaby do jej zagarnięcia.

A dążenia te stawały się coraz wyraźniejsze, przejęty nawet został list jednego z generałów rosyjskich, ks. Górczakowa, do arcyksięcia Ferdynanda, w którym winał mu tenże jego sukcesów warszawskich, a zarazem wyrażał nadzieję rychłego połączenia się armii rosyjskiej z austriacką w walce przeciw armii francusko-polskiej.

Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężona, zwłaszcza, iż i Napoleonowi zaczęło się niepowodzić na placu boju z Austrią. Niepomyślne bitwy pod Aspera i Esslingen groziły, iż na zniechędzonych Francuzów uderzą z tyłu Prusy, a Rosja, coraz bardziej posuwająca się naprzód w Galicji, zaatakujecie armję polską, zwłaszcza, iż zagarnęła już Lwów.

Lecz naraz Napoleon odniósł walne zwycięstwo pod Wagram, a wnet potem rozpoczęto rokowania o pokój.

Mimo to jednak sytuacja ks. Józefa nie stała się łatwiejszą w stosunku do wojsk rosyjskich. Z Puław wyruszył on przez Radom i Kielce do Krakowa, skąd mógł przez Olomuniec uzyskać połączenie z armją francuską.

Komendant austriacki Krakowa podpisał już akt kapitulacji tego miasta z dowódcą straży przedniej, gen. Różniczkim, i następnego dnia książe Józef miał dokonać uroczystego wjazdu do miasta, gdy w nocy zajęte ono zostało przez oddział rosyjski, wpuszczony przez komendę austriacką.

Tu już oburzenie ks. Józefa wzięło górę nad dotychczasową oględnością jego w stosunku do Rosjan. Rankiem 15-go lipca, na czele oddziału jazdy, podjechał do bramy miasta, gdzie mu zastąpił drogę szwadron huzarów rosyjskich, w szyku bojowym. Bez namysłu wspiął książe konia i z takim impetem runął na nich, iż paru jeźdźców obalił, a przez utworzony w ten sposób wyłom, wojsko polskie weszło do miasta.

Nadbiegli dowódcy rosyjscy, którzy wobec przedstawionego im aktu kapitulacyjnego, a zwłaszcza wobec stanowczej postawy księcia, musieli przyznać mu słuszność, i stanęło na tem, iż załoga rosyjska pozostała tymczasowo obok polskiej w mieście, które uznane zostało za polskie.

Prastara stolica Polski z entuzjazmem witała oswobodzicieli swoich. Ks. Józefa przyjmowano prawie że z królewskimi honorami, wyprawiano na cześć jego uczty, a domorodli rymopisi coraz nowe układali panegiryki i ody.

„Nie upajał się on jednak niemi, choć były one jakby częścią wynagrodzeniem przykrości, jakich doznał w Warszawie, lecz niestrudzenie pracował.

Pracował przedewszystkiem nad dalszą organizacją armji, a następnie nad przywróceniem polskiego charakteru i miastu, i Galicji całej.

Rojeniem jego była chęć stworzenia w Krakowie ogniska oświaty polskiej, czegoś, w rodzaju Instytutu francuskiego, tak wspaniale rozwiniętego przez Napoleona.

W zakresie organizacji wojskowej dokonał rzeczywiście coś niebywałego, gdyż z kilkunastotysięcznej garstki stworzył armję czterokrotnie liczniejszą, uzbrojoną i wyćwiczoną należycie.

Lecz i tu, mimo wszystko, nie uszedł nikczemnej podejrzliwości ludzkiej, oskarżano go o ambitne dążenia, o sięganie nawet po koronę królewską, a zarazem zarzucono, iż nie umiał uciec się do środków rewolucyjnych i nie porwał mas ludowych.

Spotykały go również zarzuty i ze strony Rady Stanu, lecz on nie zważał na nic, zajęty swą pracą twórczą, mając przed oczyma jeden wielki a święty cel — dalsze odrodzenie narodu w powiększonych znacznie granicach.

A jednak ważyły się wtedy losy Polski. Po chwilowych niepowodzeniach Napoleona, zarówno ze strony Prus, jak i Rosji, snuć poczęto przeróżne projekty, w których Polska główną odgrywała rolę.

Zabiegano około ks. Józefa, starając się pozyskać go dla tych planów, czyniono nawet różne, dalekoidące propozycje, lecz on, wierny swym przyrzeczeniom, wierny honorowi, a przede wszystkim narodowi, z pogardą, ostro odrzucał te propozycje, a nawet czyniącym je pośrednikom groził aresztowaniem.

Zawiadamał o tych wszystkich zabiegach Napoleona, naturalnie nie wymieniając osób, a jednocześnie znosić musiał tysiące przykrości od dowódców rosyjskich, zawiedzionych w swych nadziejach.

Sytuacja pozostawała tak naprężoną aż do połowy października, gdyż prowadzone rokowania pokojowe coraz groziły zerwaniem, aż wreszcie pokój w Schoenbrunn kres wszystkiemu położył.

Wtedy dopiero imię ks. Józefa zajaśniało w całej głó-rji, teraz dopiero zrozumiano całą doniosłość czynów jego i oceniono działalność jego.

Księstwo Warszawskie zostało prawie że zdwojone, zajmowało w rzędzie mocarstw należne mu stanowisko, a było to prawie że wyłączną zasługą ks. Józefa.

Napoleon, który mu wiele zawdzięczał, poza wyrazami uznania w raportach i biuletynach, nagroził go szablą złotą honorową, mianował go wielkim oficerem legji honorowej z najwyższą odznaką tegoż orderu. Książę Warszawski nagroził go donacją w dobrach wartości półtora miliona złp.

Największą jednak nagrodę dał mu cały naród, obdarzając go teraz miłością i zaufaniem bezgranicznym. Stał się on jego bohaterem, prawie półbogiem, a imię jego było na ustach wszystkich.

Przejmowało go to radością, lecz z właściwą mu skromnością uchylał się od wszelkich objawów tej czci i miłości.

Warszawa jedna z pierwszych zrozumiała swą winę względem niego, chciała mu też sownie wynagrodzić te chwile goryczy, jakie mu sprawiała. Szukowała się też do manife-

stacyjnego, a zarazem uroczystego i tryumfalnego przyjęcia bohatera swego, gdy wracać miał ze zwycięskiej wyprawy.

Lecz on pamiętał jej pożegnanie, jakie mu wyprawiła, gdy w roku 1809 opuszczał na czele wojsk jej mury, by iść na pole walk.

Wyprawił też przodem wojska, by owocnie te na nie spadły, i choć serce jego rwało się do umiłowanej Warszawy, do synka, urodzonego w r. 1809, a którego nie znał, przeciągał swój pobyt w Krakowie jaknajdłużej.

Dopiero w styczniu 1810 r., wrócił ukradkiem, w tajemnicy, do stolicy.

To była zemsta jego...

VII.

Nie spoczywał jednak w Warszawie na laurach zwycięski ks. Józef.

Czekała go tam wyteżona praca przy organizowaniu sił wojskowych znacznie powiększonego Księstwa Warszawskiego.

Praca tymbardziej ważna, iż od strony północy groźno zbierać się zaczęły chmury, zagrażające tyłowi odradzającej się Polski.

Car Aleksander jasno zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznym było istnienie tego skrawka niepodległej Polski dla zagrabionych przez Rosję w czasie trzech rozbiorów, prowincji polsko-litewskich. Wszelkimi też drogami dążył do unicestwienia Księstwa, a nienawiść jego kierowała się przede wszystkim przeciwko ks. Józefowi, który wytrwale stał na straży, całości i honoru narodu.

Napoleon pozornie wdawał się w te układy, chcąc zbadać zamiary obłudnego sprzymierzeńca, lecz gdy w r. 1810. przez ożenienie się z arcyksiężniczką austriacką, umocnił się na tronie, wszelkie traktaty odrzucił.

Naprężenie między Rosją a Francją od czasu tego rośło, potężniało, grożąc lada chwila wybuchem wojny, i to wojny o Polskę.

Ks. Józef intuicyjnie przewidywał to, to też wszelkie siły, cały swój talent organizacyjny i wojskowy wyteżał w kie-

runku jaknajlepszego wydoskonalenia wojska, oraz organizacji wojskowej Księstwa.

Poświęcał wszystko na potrzeby umiłowanej armji, nawet swe pensje ministra i generała, które z polecenia jego skarb przelewał na potrzeby wojska. Nawet koszty reprezentacyjne, a często nawet i służbowe, pokrywał z własnej kieszeni, choć stan materialny jego nie był zbyt świetny.

To też zaciągał długi na wszystkie strony, a gdy po bohaterskiej śmierci jego, sporządzono bilans majątku jego, okazało się, że nie posiadał nic, że zginał, jak bezdomny, ubogi żołnierz, który wszystko oddał ojczyźnie.

Za to troska jego o byt żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy na dalekich polach walk, we Włoszech, Hiszpanji, Austrii i Niemczech, kalekami dzięki ranom odniesionym zostali, był bezgraniczny. Zabiegał o przyznanie im pensji, o zabezpieczenie bytu, by z głodu nie marli, by o żebranym nie musieli żyć chlebie.

I to było troską jego największą, najsroższym bólem jego, zwłaszcza, że ubogi skarb Księstwa świecił pustkami, nie mając pieniędzy nawet na najkonieczniejsze wypłaty.

A tymczasem w nader szybkim tempie zbliżała się straszliwa, nieunikniona katastrofa. Naprężenie między Rosją a Francją rosło, a doszło już do takiego stanu, że car rosyjski już na wiosnę 1811 r. uderzyć chciał na Francję.

Lecz szło mu jeszcze o pozyskanie sobie Polaków, o oderwanie ich od Napoleona. Za pośrednika w tej sprawie użył starego przyjaciela swego, ks. Adama Czartoryskiego, któremu polecił udać się pod pozorem interesów do Warszawy i tam przedstawić ks. Józefowi cały szereg punktów, mających rzekomo zabezpieczyć przyszłość Polski, a zarazem zapewnić mu wysokie stanowisko.

Książę Józef propozycje te stanowczo odrzucił, psując w ten sposób wszystkie plany Aleksandra. Związany słowem honoru, nie mógł wyjawić wprost wszystkiego Napoleonowi, lecz za święty obowiązek swój uważał ostrzeżenie go o groźnym niebezpieczeństwie.

Lecz cesarz zlekceważył sobie te ostrzeżenia.

Dopiero za bytności swej w Paryżu, na chrzcinach króla

rzymskiego, zdołał przekonać go o groźnym stanie rzeczy, tak że Napoleon spiesznie czynić zaczął przygotowania do odparcia napadu wroga, przez co powstrzymał zamierzone wypowiedzenie wojny przez Rosję.

Pobyt ks. Józefa w Paryżu przedłużał się. Przyjmowany nader gościnnie, z wyrazem, wprost ostentacyjnym wyróżnieniem przez cesarza, z którym długie prowadził narady w sprawach wojskowych Księstwa, przedstawiając mu plany swoje i projekty odnośnie reformy wojsk. Zdawał mu też relacje ze stanu rzeczy w Księstwie i zabiegach Rosji, otwierając oczy na groźne niebezpieczeństwo, z którego Napoleon nie zdawał sobie jeszcze dokładnej sprawy.

Stał się też, dzięki rycerskiej postawie, dzięki swym czynom heroicznym, bożyszczem salonów, i cały Paryż o nim tylko mówił.

Wśród jednak tego wiru zabaw i uroczystości, nie zapomniał o Polsce, o sprawach jej, mówił o nich cesarzowi, przypominał wszystko, co jeszcze należało dla Polski zrobić.

Brał też udział w opracowaniu planów wielkiej kampanji, która w proch obrócić miała potęgę Napoleona, choć cesarz, niestety, odrzucił zarówno projekt jego, jak i gen. Sokolnickiego, uderzenia przedewszystkiem na prowincje południowo zachodnie Rosji, gdzie wśród ludności łatwo było wzniecić powstanie, gdzie wielka armja z łatwością znalazłaby żywność i odpowiednie warunki do przezimowania, by na wiosnę, wzmocniona na siłach, mogła z powodzeniem dalszą prowadzić kampanję.

Po krótkim pobycie w Dreźnie, przybył do Warszawy, gdzie czekały na niego olbrzymie, wyczerpujące w swym ogromie prace przygotowawcze do wojny. Trzeba było dokonywać rzeczy wprost niemożliwych na pozór. Na nowe zaciągi, na nowe formacje wojskowe trzeba było wyciągać pieniądze z kraju, doprowadzonego do ostatniego stopnia nędzy przez ciągłe wojny, z kraju, zrujnowanego zupełnie i stojącego na skraju bankructwa.

Rozumiał to znakomicie ks. Józef, ugiął się pod tym ciężarem, lecz cierpiał, cierpiał niewypowiedzianie, podejmując wszelki trud, wszelką pracę dla dobra Polski.

A nadmiar wszystkiego z Litwy nadchodziły wiadomości, iż społeczeństwo tamtejsze niezbyt przychylnie zapatruje się na wojnę Francji z Rosją, że na poparcie w tamtejszych kołach zbyt licznie nie można, a nawet agitacja rosyjska znów krzewić się w Księstwie zaczęła, znajdując posłuch wśród magnatów.

Musił też wielu skompromitowanych osłaniać, bronić, byle tylko nie dopuścić hańby na honorze polskim.

Zmieniło się też znacznie w tym czasie usposobienie jego, znikł wesoły, beztroski na pozór pustak, lubiący zabawić się, poswawolić, z lekkim dowcipem na ustach, a miejsce jego zajął mąż poważny, skupiony, z troską wieczną w duszy i oczach, z tęsknicą nieodgadnią.

Nadszedł rok 1812. Wojna Rosji została wypowiedzianą przez Francję, i olbrzymia armia francuska szykowała się do przekroczenia granicy rosyjskiej.

Nadszedł też rozkaz Napoleona, tworzący z części wojsk polskich korpus piąty, mający pozostawać pod komendą ks. Józefa.

Wiosną roku tego przechodził on ciężką chorobę, lecz nie przerywał czynności swoich... Całą siłę swoją wyteżał, by zakończyć wszystkie roboty przygotowawcze, oraz by zwalczyć chorobę, by móż wyruszyć w pole...

Sporządził też na wypadek śmierci testament, którym cały majątek swój zapisywał siostrze, pani Tyszkiewiczowej, dwóm synom swoim naturalnym przeznaczał skromne legaty po 10 i 15 tysięcy dukatów, tyleż bratu naturalnemu i pani Vauban; 200 dukatów przeznaczał żebrakom, a 1000 dla ubogich, wstydzających się żebrać mieszkańców Warszawy; włościanom darowywał wszelkie zaległości, a wojsku zapisywał gażę swoją, aby mieli chwilę wesołą, pijąc na jego intencję...

Wreszcie w dn. 4 czerwca wyruszył w pole.

Przez Pułtusk, Ostrołękę, Nowogród, Rajgród dążył korpus V ku granicy, gdzie u ks. Józefa zjawił się w tajemnicy wysłany przez cara Aleksandra baron Toll, z propozycją najwyższych godności w Królestwie Polskiem, byle tylko porzucił sprawę Napoleona.

I tą jednak pokusę odrzucił dumnie ks. Józef, przyrzekając zarazem, iż nie zdradzi jej nikomu...

Posuwano się powoli naprzód, przeprawiając się przez Niemen pod Grodnem, a potem zamiast na Mińsk, skierował się korpus piąty na Nieśwież, ponosząc pod Mirem nieznaczoną porażkę...

Przynajmniej tego był brak żywności i paszy, oraz ciągła obecność przy korpusie króla Hieronima, który, niezbyt rycerskiego będąc ducha, tamował tylko ruchy swą niedorzeczną komendą. Żalił się ks. Józef Napoleonowi i na jedno i na drugie, i w odpowiedzi na pierwsze otrzymał ostrą przymówkę, iż o żołdzie i chlebie prawi, kiedy chodzi o ściganie nieprzyjaciela, a na drugie — odwołał Napoleon króla Hieronima i korpus piąty oddał pod komendę marszałka Davousta.

Bronił się przed pierwszym ks. Józef, cieszył się z drugiego, a w tydzień potem został przez cesarza zaszczycony wielkim dowodem zaufania, gdyż otrzymał, co prawda tymczasowo, dowództwo całego prawego skrzydła.

A zadanie jego było coraz trudniejsze... Pułki polskie, składające się przeważnie z młodego, niewycwiczonego należycie żołnierza, posuwały się naprzód powoli, ponosząc znaczne straty.

Spotykały go za to ciągle wymówki ze strony Napoleona, który przywitał go nader ostro, gdy połączył się z nim pod Smoleńskiem.

Tłómaczył się ze wszystkiego Poniatowski spokojnie, lecz stanowczo, to też cesarz, jakby chcąc powetować wyrządzoną mu krzywdę, następnego dnia przy przeglądzie wojsk polskich, wyraził mu swoje ukontentowanie...

A następnego znów dnia pułki polskie, przy szturmie Smoleńska, dowiodły, iż pochwały te zasłużonemi były.

Dzień cały i noc szli wiarusi polscy do ataku na mury miasta, podchodząc pod nie kilkakrotnie, aż wreszcie wdarli się do miasta przez wyłom w murze...

Podziwiał te wysiłki wodza i wojska Napoleon, wysiłki, okupione stratą 1500 żołnierzy, i na rewji sypnął na korpus V gradem krzyży, jakby chcąc wynagrodzić swe zarzuty, jakby chcąc przeprosić za krzywdę...

Obdarzał też ks. Józefa coraz większem zaufaniem...

Lecz gdy tenże na klęczkach nieomal błagał go, by pozwolił mu iść na Kijów, by w tamtych stronach wznieść powstanie, — odmówił mu...

I znów posuwano się naprzód w stronę Moskwy, przy czem korpus polski, osłaniając prawe skrzydło, idąc polem, obok traktu, którym posuwały się główne siły, miał jedno z najtrudniejszych zadań ucierając się przytem wciąż z kawalerją nieprzyjacielską...

Aż wreszcie zbliżono się do Borodina gdzie stoczyć miano bitwę decydującą o zajęciu Moskwy, a jak Napoleon sądził, o ukończeniu wojny...

Nie dochodząc jeszcze do niego, musiał ks. Józef stoczyć krwawy bój z wrogiem, który oskoczył go wraz z sztabem przeważającymi siłami. Bój był zacięty i ks. Józef szablą musiał torować sobie drogę...

A pod Borodinem, w krwawym dwudniowym boju, mając powierzoną sobie nader ważną pozycję na prawem skrzydło, oddany prawie na stracenie, walczył jak lew, z męstwem rozpacz, i odparł wroga...

W dn. 14 wrześnią wszedł wraz z wielką armją do Moskwy, tej stolicy carstwa, która już raz była w rękach polskich, lecz w dwa dni potem wyszedł z niej, by ścigać dalej uchodzącego nieprzyjaciela...

W poczuciu honoru, w poczuciu uczciwości, zabronił żołnierzom polskim wszelkiego rabunku i grabieży, i jeńce tylko wojska polskie nie splamiły się tą ohydą...

Korpus jego, szczerplejący z dniem każdym, wysunięty na najniebezpieczniejsze pozycje, codzień nieomal był w boju, codzień nieomal odpiierać musiał zacięte ataki wojsk rosyjskich, topniał też w sposób zastraszający, spadając do pięciu tysięcy ludzi, lecz artylerję swą zachował w całości, a z sztandarów swych nie utracił ani jednego...

A przecież ta garść ludzi, cieni raczej, pod wodzą ks. Józefa zwycięstwa odnosiła, jak pod Czarykowem, gdzie po sześciogodzinnym boju, w którym ks. Józef osobiście do ataku szwadrony swe prowadził, nieprzyjaciel ustąpić musiał; jak pod Woronowem, gdzie dzięki uderzeniu jego uratowanem

zostało od zagłady skrzydło Murata, ba, nawet sam środek Wielkiej Armii, zagrożonej poważnie przez wroga...

Wytrwałość i męstwo wojsk polskich budziły podziw, lecz sprawcą głównym tego był ks. Józef. Wytrwały, od świtu na koniu, zawsze na czele wojsk swoich, dający im przykład, pogodą swoją rozpraszający gromadzące się na ich twarzach chmury, dbający o nich, a nie wyróżniający się niczem, nic dziwnego, że jednal sobie ich miłość i uwielbienie...

W tej straszliwej wojnie korpus piaty, dzięki czujności i przytomności jego, oddał armji francuskiej nieocenione usługi, osłonił ją od wcześniejszej, a może jeszcze straszniejszej zagłady...

To też, gdy rozpoczął się odwrót, wywołany zbliżającą się zimą, straszliwą w klimacie Rosji, który większą ilość ofiar porywał, niż kule nieprzyjacielskie, jemu powierzono osłone odrotu wielkiej armji, oddając dowództwo tylnej straży, gdzie musiał się ciągle ucierać z atakującym i ścigającym nieprzyjacielem...

Topniały też szeregi polskie, topniały w sposób zastraszający, na co z bólem serdecznym patrzył wódz niezłomny, sam zawsze na czele wojsk swoich, zawsze w ogniu, by służyć im przykładem i zachętą...

Lecz nie mógł do końca prowadzić drużyny swojej...

Fatalny poć Wiazma upadek z koniem na rekonesansie, powodujący zwichnięcie nogi i krwotok gardlany, zmusiły go do zrzeczenia się dowództwa, do oddania go w ręce gen. Zajączka i dalsze podążanie przodem kareta, wraz z rannym adiutantem. Arturem Potockim.

Lecz i teraz jeszcze nie porzuciła go myśl o żołnierzach jego, troska o los tej garści straceńców, liczącej zaledwie 600 piechurów i 30 jeźdźców, lecz za to ciągnący wszystkie prawie działa swoje, podczas gdy resztę wykruszyły ustawiczne boje i mróz, ten nastrasznieszy wróg...

Zwracał się ze Smoleńska do cesarza z prośbą, by garść tę zluzował z tylnej straży, by pozwolił im ratować życie...

Cesarz spotkał go pod Krasnem i długo poufnie z nim rozmawiał, stojąc na stopniu karety...

Aż wreszcie armja francuska przyszła nad Berezynę,

która miała być ostatecznym jej grobem. Przebył most przez rzekę w przeddzień straszliwej katastrofy, lecz stracił tam bagaże swoje i musiał spalić ważne papiery sztabowe...

Podążał potem, nie zatrzymując się prawie, przez Wilno, gdzie wydał jeszcze ostatnie zarządzenia niedobitków polskich się tyczące, do Warszawy, gdzie osłabiony, wyczerpany, stanął w połowie grudnia...

Cicho, bez żadnych przwitań, zajechał przed pałac swój pod Błachą ten, którego Warszawa tak owacyjnie żegnała przed kilku miesiącami... Zajechał, wioząc z sobą jedyny łup z tej wojny, tom II dzieła, traktującego o Turcji, znaleziony na łożu, a który w czasie niemocy swojej odczytywał w karęcie...

A za nim, w dwa tygodnie potem, nadciągnęli obdarcy, obszarpani, wynędzniali niedobitcy V korpusu, w liczbie paru set, lecz za to wiodący działa swoje, niosący sztandarv...

W nędzy swej bezgranicznej stawili się pod Błachą, jak na przegład straszliwy, a on witał ich, witał w milczeniu, nie mogąc wymówić ze wzruszenia ani słowa, nie mogąc jednak ukryć też swoich, które graudem po obliczu jego spływały.

Nie było jednak czasu na rozczulanie się, na tkliwość bezgraniczną, trzeba było wziąć się do czynu, do pracy wytężonej, by powetować szkody poniesione, by na nowo stawić gmach zburzony, a co najważniejsze, by powstrzymać natarcie wroga, dążącego do zupełnego unicestwienia Napoleona a z nim i Księstwa Warszawskiego...

VIII.

Kłeska Napoleona wprowadziła niebywały zamęt w rządzie Księstwa Warszawskiego.

Wojska rosyjskie, postępujące w ślad za cofającą się armią francuską, zajmowały jedno miasto za drugim, a jednocześnie rozpoczynano znów zaciętą agitację w sprawie dokonania zwrotu opinii społeczeństwo polskiego na korzyść Rosji...

Agitacja ta znalazła posłuch u niektórych wybitnych nawet członków Rady stanu, a ministrowie — skarbu, Matusze-

wicz, i spraw wewnętrznych, Mostowski, już w listopadzie, za pośrednictwem ks. Adama Czartoryskiego, zaczęli porozumiewać się z carem Aleksandrem.

Ryzykownem było to bardzo, gdyż wszystkie widoki przyszłości opierane były raczej na obietnicach, nie popartych żadnymi gwarancjami...

Lecz w chaosie, wywołanym klęską mocarza, naprawdę nie wiedzano, co czynić, w którą zwrócić się stronę...

Stronnictwu rusofilskiemu zwracano uwagę ze źródeł miarodajnych, iż na obietnicach cara Aleksandra nie wiele budować należy... Ostrzegano przed zbyt niemiłym zaufaniem, lecz nie wiele to pomódz mogło, zwłaszcza wobec braku wszelkiej orientacji politycznej...

Wszystkie te pogłoski, cała ta agitacja, obijała się o ks. Józefa, który wnet energicznie przeciwdziałać jej zaczął, występując wrogo przeciw rusofilskim dążeniom kolegów swoich, ministrów, rzucając im hasła wyższe, wznioślejsze, choć narazie uważane za stracone, za bezowocne...

Zwrócił się do nich zaraz na pierwszym posiedzeniu Rady Ministrów z przemową, w której wskazał jasno, że o żadnym, najmniejszym nawet odstępstwie od sprawy Napoleona nie myśli, że bronić jej wytrwale zamierza, widząc w niej jedyną gwarancję wolności dla Polski...

Zabrał się też energicznie do czynu przy formowaniu nowego wojska, i pomimo ogólnego wyczerpania kraju, pomimo wybrania już prawie wszystkich mężczyzn, zdolnych do noszenia broni, w przeciągu paru tygodni stworzył zdołał armię kilkunastotysięczną, co było istnym cudem...

A tymczasem sprawę Napoleona opuszczali kolejno wszyscy dotychczasowi, ujarzmieni potęgą oręża jego, sojusznicy...

Pierwsze Prusy połączyły się przymierzem z Rosją, a w ślad za niemi poszła Austria, choć związana z nim była węzłami rodzinnymi.

Zadaniem sprzymierzeńczych wojsk austriackich miało być osłanianie Księstwa Warszawskiego, łącznie z armją jego, przed natarciem wojsk rosyjskich. Lecz feldmarszałek austriacki, ks. Schwarzenberg, dawny przyjaciel i kolega ks.

Józefa, kierując się otrzymanymi z Wiednia wskazówkami, a przytem zawarłszy tajny traktat z Rosją, oświadczył kategorycznie, iż, wobec przeważających sił rosyjskich, o obronie tej nawet myśleć nie można, i że wycofuje się z korpusem swym do Galicji.

W ostrych słowach czynił mu wyrzuty ks. Józef, wymawiając haniebną zdradę, proponował mu pojedynek, lecz wódz austriacki, nie przyjmując go, wycofał wojska swoje i pozostawił Warszawę bez obrony.

Sytuacja była naprawdę rozpaczliwą. O utrzymaniu Warszawy, wobec przemocy wroga, nie mogło być nawet mowy, a tu, nadmiar, coraz większy zaczęto wywierać na niego nacisk, by zaprzestał próżnej walki, by pozostawił rzeczy naturalnemu ich biegowi i by pozostał z wojskiem na miejscu...

Lecz ks. Józef oparł się temu. Zjawiwszy się na posiedzeniu Rady Ministrów, kategorycznie zażądał wyjazdu rządu z Warszawy i udania się tymczasowo do Piotrkowa. Usłuchano go, a w parę dni potem, 5 lutego 1813 roku na czele ośmiu tysięcy żołnierzy po raz ostatni opuścił mury ukochanego grodu.

Posuwał się powoli, przez Piotrków i Częstochowę, do Krakowa, gdzie przez dwa i pół miesiąca bawił, zajęty dalszą organizacją wojsk, tworzeniem nowych oddziałów, z którymi czekał na rozkaz Napoleona...

A przytem po raz ostatni wystawiony był na nalegania i pokusy ze strony tych, którzy zbawienie, ostatni ratunek Polski, widzieli teraz w poddaniu się żądaniom cara Aleksandra, łudzącego ich wciąż obietnicami odbudowy Polski pod swoim berłem...

Szarpany ze wszech stron, otoczony przemyśliwymi już o odstąpieniu Napoleona Austriakami, opuszczony nawet przez księcia Warszawskiego, który, by ratować swą dziedziczną Saksonję, zamierzał zawrzeć z Austrią kapitulację, mającą wydanie jej Królestwa na celu... Nie popierany przez nikogo z Rady Stanu, gdyż wszyscy prawie przechylali się na stronę Rosji, stał na rozdrożu, sam nie wiedział, co ma czynić...

Toczył sam z sobą walkę straszliwą, walkę, w której stawką był honor jego, honor i pomyślność Ojczyzny...

Ogarniało go zwątpienie, co ma czynić dalej, zwątpienie tak potężne, że sięgał w przystępie rozpacz, w czasie nocy bezsennych, po pistolety, by śmiercią samobójczą kres temu wszystkiemu położyć...

A przytem wszystkim i ze strony Napoleona spotykać się zaczął z dowodami braku zaufania.

Przecierpiał i przemyślał wiele, lecz w ogniu tych mąk duchowych, dojrzał, spoteźniał, i oto powziął postanowienie, które mu tylko zaszczyt przynieść mogło...

Być wiernym przysiędze do ostatka, wytrwać przy niej bez względu na obrót, jaki sprawy ogólne przybrać mogły...

I utrwalwszy się w postanowieniu swoim, szykować się zaczął do wymarszu, celem połączenia się z wielką armją Napoleona, walczącą o swój byt, o byt Francji, w Niemczech...

Odtąd los jego nierozzerwalnie, choć na krótko, związanym być musiał z losami Napoleona...

Uzyskawszy od Austrii, obostrzone różnemi zabezpieczeniami, pozwolenie na przemarsz, wyruszył w pierwszych dniach maja...

Cieężko mu było rozstawać się z ziemią ojczyzną, jakby przeczuwał, iż nigdy jej nie ujrzy...

Wstrzymał jeszcze na dzień jeden pochód, gdy Sokolnicki przywiózł mu rozkaz cesarza, by rzucił się do Królestwa i, wspomagany przez Austriaków, wytworzył tam partyzantkę...

Wstrzymał dlatego, by dowodnie przekonać wyścianca cesarskiego o zdradliwym postępowaniu Austrii. To też, gdy wódz austriacki, gen. Firmont odmówił wręcz posłuszeństwa otrzymanym rozkazom, puścił się natychmiast w drogę...

Długą i uciążliwą była ta wędrówka kilkotygodniowa przez ziemie Czech i Moraw, gdzie wszędzie napotykał trudności ze strony władz austriackich, gdzie wojsko znosić musiało brak żywności i furażu dla koni...

Aż wreszcie dotarł do Saksonji, gdzie ludność miasta Zittau witała go ostentacyjnie i radośnie...

Rozkrzyż się tam dla odpoczynku, poczem sam podążył

do Drezna, do cesarza, celem widzenia się z nim. Przyjęty został z radością, gdyż Napoleon już wątpić o nim zaczynał, wiedząc dobrze na ile pokus był wystawiony...

To też wyraził się o nim następnie, na wygnaniu swoim na wyspie św. Heleny:

„Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty: a jednak on zmilczał...”

Zmilczał, gdyż nie dla nagrody służył i walczył, wypełniał tylko obowiązki swoje względem Ojczyzny...

A przytem i posiłki, jakie przyprowadził, choć nieliczne, stanowiły ważną pomoc dla Napoleona w tych trudnych chwilach...

Wynagrodził go też za to natychmiast, tworząc z przyprowadzonego przezeń wojska polskiego korpus VIII pod jego wodzą, i dając mu tę samą rangę, co marszałkom Francji.

Bez radości przyjmował ks. Józef te odznaki, większa może przyjemność sprawiał mu projekt o Polsce, rozpatrywany przez Napoleona z jego natchnienia...

Burza tymczasem wybuchła. Austria zrzuciła maskę, łącząc się z wrogami Napoleona, a na czele wojsk koalicji stanął ongi przyjaciel ks. Józefa, a teraz wróg jego zacięty, ks. Schwarzenberg...

I znów stanął ks. Józef z garścią swoich na straconym posterunku, broniąc najniebezpieczniejszych pozycji, osłaniając w straży przedniej główne siły Napoleona.

Od Lobau aż do Lipska, nie było potyczki, nie było bitwy, w której by nie brał udziału...

Pod Lipskiem wreszcie powierzono obronie jego prawe skrzydło, i już w dniu 12 października odniósł lekką ranę pika w rękę, gdy szarżował na nieprzyjaciela na czele ułanów...

Aż wreszcie przyszło do wielkiej bitwy narodów na polach Lipska, bitwy, która rozstrzygnąć miała o losach Napoleona, Francji i Polski.

Zaraz pierwszego dnia, 15 października, ukazał się rozkaz cesarski, mianujący ks. Józefa marszałkiem Francji. Winszowano mu tego zaszczytu, lecz on obojętnie przyjmował te życzenia. Cóż dla niego znaczyła godność, gdy widział, iż Polska wolności swojej nie odzyska...

Walczył w dniu tym z zaciętością, nie ustępując pędzi ziemi nawet, odpierając wszelkie ataki przeciwnika, przyczem odniósł ranę od kuli karabinowej...

Dzień 17 października był dniem wypoczynku, lecz za to następnego dnia rozgorzała bitwa z nową zaciętością... I mimo szalonych ataków przeciwnika, rzucającego w bój olbrzymie masy ludzi, utrzymał się na stanowisku, choć poniósł olbrzymie straty w ludziach i amunicji.

Lecz losy bitwy przesądzone były... Wojska saskie przeszły na stronę nieprzyjaciela, któremu nadciągnęły świeże posiłki pod wodzą Blichera i Bernadotte'a...

Napoleon nakazał odwrót, a osłaniać go miał ks. Józef.

Zimny, wietrzny, pochmurny był poranek dnia 19 października, gdy saperzy francuscy wysadzili most na Pleissie. Ks. Józef był odcięty od głównej armii, a stojąc na czele kilkuset ludzi, odierać musiał roje nacierających nieprzyjaciół...

Wtem otrzymał nowy postrzał w rękę, lecz nie zważał na niego. Próżno otaczający go błagali, ażeby się poddał, ażeby zachował życie swe dla Ojczyzny. Nie słuchał ich, odpowiadając na wszystko:

— Trzeba umrzeć mężnie...

Przebył wplaw na koniu Pleissę, a gdy ten mu utonął, pieszo przebył przestrzeń, dzielącą go od Elstery, i tam, dośladwszy świeżego konia, rzucił się w nurty rzeki.

Lecz przedtem jeszcze otrzymał czwarty postrzał w bok. Nieprzytomny prawie, na wszelkie nalegania towarzyszy odpowiadał bez związku, o Polsce, o honorze, który mu Bóg powierzył i który Mu odda...

Płynąc już, otrzymał nowy postrzał w pierś lewą, zsunął się z konia i po krótkiej walce z falami, utonął...

Zwłoki jego dopiero w dniu 24 października wydobyli rybacy z fal Elstery. Złożono je w podziemiach magistratu Lipska, a dopiero w maju r. 1814 uzyskano pozwolenie cara Aleksandra na przewiezienie ich do Ojczyzny...

Garść wiarusów polskich, z Dąbrowskim i Sokolnickim na czele, powiozła je przez Saksonję i Czechy do Polski, do Warszawy, gdzie złożono je w dniu 9 września t. r. w podziemiach kościoła św. Krzyża. Spoczywały tam trzy lata, po-

czem przewieziono je do Kralupy, gdzie w dniu 23 lipca 1817 roku spoczęły na Wawelu, w grobach królewskich...

Miejsce zgonu ks. Józefa w Lipsku uczczono pomnikiem.

I Warszawa chciała uczcić pamięć swojego księcia pomnikiem, uzyskano z trudem pozwolenie cara Aleksandra na to, choć w. ks. Konstanty stawiał trudności wystawieniu pomnika komuś, w małościowości swej pytając: co takiego zrobił ks. Józef?...

Przepiękny pomnik w stylu rzymskim wykonał znakomity rzeźbiarz duński, Thorwaldsen, lecz wykonał go dopiero w roku 1830, gdy rozgorzała w Polsce walka o wolność... Leżał też rozebrany na części w Modlinie, aż do r. 1840, gdy car Mikołaj w łaskawości swojej a nienawiści do Polaków, darował go katowi Polski, ks. Paskiewiczowi, który przyozdobił nim letnią rezydencję swoją w Homlu...

Lecz naród polski nigdy nie zapomniał swojego księcia, i teraz, gdy nadejdą dla niego jasne, promienne chwile, upomni się o własność swoją, i postawi ją w miejscu najwłaściwszem, w sercu Warszawy, którą tak ks. Józef gorąco miłował.



45430